



Mirosław Derecki

HOTEL POD MALWĄ

„Módlmy się bracia grzeszni, bo nigdy nie widamo, kiedy nadejdzie godzina Sądu” - zakończył dziadzia Mamałygin.

„Amen” Odpowiedzieliśmy.

Panna Michelle znudzonym głosem odezwała się z kąta: „Nie ma Boga. Wiem dobrze. Byłam w klasztorze”.

Wiedzieliśmy, że nie ma Boga, ale też właściwie nie zastanawialiśmy się, czy jest czy Go nie ma. Nikt nie odczuwał potrzeby jego istnienia. W ogóle tego rodzaju sprawy mało nas interesowały. Zresztą panna Michelle miała forszę, więc mogła sobie pozwolić na pewne wychylenia. Dla nas zaś najważniejszą sprawą było takie ustawienie dziadzi Mamałygina, żeby miał do nas zaufanie i pozwolił choć jeszcze jedną noc przespać się na kredyt. A dziadzia Mamałygin był pobożny.

A było to tak: Akurat byliśmy wtedy z Józium artystami i mieszkali w malutkim hoteliku „Pod Malwą”. Nawet malwa na szyldzie, dzieło plastyka i może dlatego nie było jej widać. Tylko jakieś plamy. Dziadzia Mamałygin strasznie się złościł na plastyka Buffo. „Gdzie ta malwa, co ty ją miał namalować – wrzeszczał – za co ty spał przez trzy noce za darmo...” I groził, że go wyleje na zбитy łeb z hotelu. A plastyk Buffo udawał, że jest z tego szyldu bardzo dumny.

Więc już chyba wiecie, o co chodzi. Hotel „Pod Malwą” był własnością starego raskolnika, dziadzi Mamałygina. Dziadzia był cholernie pobożny, a my u niego mieszkaliśmy. Jak już nie mieliśmy ani grosza na nocleg, szliśmy do hallu, gdzie dziadzia Mamałygin codziennie o zachodzie słońca odprawiał modły.

Kłękaliśmy, biliśmy się w piersi i żegnali dwoma palcami. („Trzy palce tworzą figę, więc jakżeż bracia kochani, żegnać się w ten sposób, toż to świętokradztwo”).

Później dziadzia wygłaszał kazanie o tym, że zawsze trzeba być dobrym, pomagać bliźniemu i straszył mękami piekielnymi. Tego zazwyczaj słuchało się także na kolanach. Na zakończenie mówiliśmy „amen”. I przynajmniej jedną noc można było spać na kredyt.

Ilość modlących się nigdy nie była jednakowa. Przychodzili tylko ci, którzy akurat nie mieli pieniędzy. Plus panna Michelle. Ona przychodziła zawsze, choć zawsze miała pieniądze na nocleg.

Oglądała co wieczór darmowe przedstawienie. Bardzo lubiła teatr. My z kolei bardzo

lubiliśmy pannę Michelle, pomimo, a może właśnie dlatego, że była zdrowo stuknięta. Niedawno uciekła ze szpitala wariatów i mieszkała na lewych papierach. Była to zupełnie miła starsza pani. Miała tylko przykrą wadę. Ciągłe zdawało się jej że przyjdą po nią w nocy sanitariusze i zabiorą z powrotem do szpitala. Nie spała po nocach, żeby zawsze być gotową do ucieczki, i tłukła się po hallu. Zresztą nawet to nikomu nie przeszkadzało. Tymbardziej, że wszyscy mieszkańcy hotelu, tworzący jak gdyby jedną wielką rodzinę, często przesiadywali do trzeciej, czwartej nad ranem w hallu, rozmawiając i grzejąc się przy Ogniu Piekielnym. Na polecenie dziadzi Mamałygina namalował go plastyk Buffo i nazwał Kompozycją IV.

My z Józi siadywaliśmy zawsze w kąciuku. Obserwowaliśmy wszystko, bo byliśmy artystami. Artyści muszą obserwować...

Józiu był artystą fotografikiem, z zawodu spawaczem wysokościowym. Ja byłem artystą literatem, a z zawodu także artystą literatem, więc nigdzie nie pracowałem. Józiu zresztą też nigdzie nie pracował. Był przecież artystą fotografikiem. Miał nawet aparat Voighländer-Bessa 9x12. Tylko mu trochę zdjęcia nie wychodziły.

Codziennie rano biegaliśmy na poszukiwanie tematów. Ale że w mieście naprawdę nie było nic godnego uwagi, więc koło południa spotykaliśmy się jakoś przypadkowo w kawiarni i tak siedzieliśmy. Potem pożyczano się złotówkę i kupowało trzy papierosy. I już było co palić.

Właściwie, zupełnie przyjemnie się żyło, bo jakoś tak wszyscy uważali nas za zupełnie zdolnych gości, którzy nie mają tylko pola do popisu i w ogóle...

A pracować zarobkowo nie mogliśmy, bo nam nie tyle chodziło o pieniądze, ile o stanowisko, na którym można byłoby coś zdziałać. Te były zajęte przez klikę ludzi niepoważnych.

Teraz to wcale nie kpię, ale my naprawdę wiedzieliśmy, ile jesteśmy wari. Klika nie zauważyła nas, pomijała przy bankietach i większych ochlajach. Cholernie nas to bolało. Może właśnie dlatego z dnia na dzień odkładaliśmy nasze plany.

Oczywiście często, jak to się mówi, nachodziły nas złe dni, kiedy wiedzieliśmy z całą pewnością, że nigdy nic z nas nie będzie, bo jesteśmy na stanowiskach. Ale swoją drogą byliśmy przynajmniej dumni z tego, że oni nie dostrzegają swej marności, a my swoją widzimy i my cierpimy.

Właśnie któregoś takiego dnia Józiu zbuntował się. Zrobił mi awanturę. Wrzeszczał, że to ja jestem wszystkiemu winien, że ja namawiałem go, żeby został artystą, chociaż, jak Boga Kocham, to on mnie namawiał na artystę. Pożyczał jakieś świństwo, zaszwejsował nim ten cały swój aparat fotograficzny na amen i powiedział, że on już nigdy w życiu nie będzie artystą. I wyjechał do Szczecina, gdzie z miejsca zrobili go budowniczym.

Jak już mówiłem, całe towarzystewko zbierało się wieczorem przy IV Kompozycji. Strasznie były ciekawe typy z tych ludzi i bardzo ciekawe historyjki opowiadali.

Jak Józiu został tym budowniczym, okropnie mi się nudziło, więc zacząłem im się przysłuchiwać, a nawet brać udział w rozmowach. I raptem nic tylko mnie pewnie Opatrzność natchnęła, - postanowiłem napisać o nich opowiadanie. Taka mnie złość wzięła na siebie, że tylko siedzę i nic nie robię!

Pod trójką mieszkała Flanela, prostytutka z synem Nugatem. Nugat to był lepszy gość! Nic tylko pisanki malował! Matka wyganiała go z pokoju i mówiła: „Ty byś tylko tu siedział i jajka mazał, a ja na chleb muszę pracować! Osobnej pracowni nie mam!”. Nugat szedł wtedy do panny Michelle, żeby mu bajki opowiadała. Albo szedł do kawiarni i ogrywał gości w pokera.

W tym czasie Flanela przyjmowała u siebie panów, ale tylko żonatych, a później latała za nimi i wołała: „Dajesz trzy stowy, albo napisze list do żony...”. I płacili.

Do nas to by się Flanela nigdy tak nie odezwała. Ona była porządną kobietą i do tego drogistką, z dyplomem honoris causa w Barcelonie, a nie jakiejś polskiej pipidówce... Tak przynajmniej mówiła.

Na drugim końcu korytarza, pod ósemką, sypiał Radca Rudolf z plastykiem Buffo. Radca Rudolf był starym zbereźnikiem i nigdy nawet nie zaklął. Tylko jak plastyk Buffo już go tak bardzo, ale to bardzo zdenerwował, wołał: „ech, kurwa ułańska”! On w ogóle miał jakąś obsesję ułańskości... Zawsze, przy każdej okazji, opowiadał historyjkę o tym, jak to w dziewiętnastym roku był podporucznikiem w trzecim pułku Szwoleżerów Gwardii i dla kawału oddał na łup koniowodnym głupawą ale za to elegancką kochankę pułkownika. I oni zrobili to w tajnej kancelarii! Pułkownik Koropatkin, bywszy Rosjanin, ryczał później przy cztery dni wszystkich koniowodnych wsadził do paki. Jak wyszli już z tej paki, powiedział: „Nu, jak wy jej dobrze zrobili i ona była zadowolona, ja do was żalu nie mam. Ale wy naruszyli świętość pułkową!... i za to posiedzieli!”

A potem Radca Rudolf wyjmował pastylki miętowe i z gracją częstował nimi pannę Michelle mówiąc: „Pani, wybaczy, ale szwoleżer jestem i czasem trochę przesolę. Za to będę zawsze stawał w Pani obronie. Może się Pani nie bać tych łapiduchów. Ja ich zaraz panie ten tego szach, mach szabelką i szlus!”

Plastyk Buffo nigdy nic nie mówił, tylko się jakoś niemądrze uśmiechał albo charczał. To był astmatyk.

Tylko raz, jak się dobrze zalał, płakał całą noc i tłumaczył wszystkim, że dla niego, plastyka Buffo, największą sztuką jest projektowanie emblematów sportowych. Wreszcie ni z tego ni z owego rozbeczał się na dobre... Oświadczył, że kocha pannę Michelle, bo ona jest dla niego bardzo dobra – codziennie wróży mu z kart bezinteresownie i że wszystko zrobi, żeby mogła zawsze mieszkać „Pod Malwą”. Panna Michelle zapłakała. Później my wszyscy wzruszyliśmy się do łez i zapewnialiśmy ją, że nie zabiorą jej stąd nigdzie, chyba po naszym trupie.

A dziadzia Mamałygin tak się trząsł od płaczu, że aż w piersi bić się nie mógł...

Nie wiem sam dlaczego, ale od tego wieczoru zacząłem więcej uwagi poświęcać pannie Michelle.

Wtedy już pisałem to swoje opowiadanie, ale na razie nic mi jakoś nie wychodziło. Wsadziłem już dziadzię Mamałygina i Flanelę z Nugatem, Radcę Rudolfa i plastyka Buffo. Nawet Józiu i siebie jakoś upchałem, ale to wszystko nie trzymało się razem. Nie było żadnej intrygi i właściwie nie bardzo wiedziałem, o co mi chodzi.

Natomiast bardzo dobrze zdawałem sobie sprawę, że jak tak dalej pójdzie, nigdy nie będę artystą literatem. A ja tak się do tego przyzwyczaiłem, że wolałbym już zostać artystą literatem...

Panna Michelle była najbogatsza z nas wszystkich. Licho wie, skąd brała pieniądze. Ja wiedziałam, że często za skromną opłatą przepowiadała przyszłość wieśniakom, którzy ściągali na cotygodniowe zjazdy wolnomyślicieli. (Okolice obfitowała w wolnomyślicieli).

Dziadzia Mamałygin twierdził, że ona zdobywa pieniądze za sprawą szatana.

Radca Rudolfa przypuszczał, że płacą jej alimenty, bo panna Michelle, zanim zdobyła doktorat filozofii i zwariowała, była bardzo przystojna i uwodzicielska. Ale znowu Planela na własne oczy widziała, jak panna Michelle zaczepiała w knajpach samotnych mężczyzn i tłumaczyła im znaczenie wyrazu „abstrakcja” na podstawie teorii artystotelesowsko-tomistycznej i oni jej na odczepnego dawali sto złotych i uciekli z szaleństwem w oczach.

Sama panna Michelle mówiła w kółko tylko o tym, że ma sześcioro dzieci i oberwaną macicę. Albo sprzeczała się z dziadzią, że nie ma Boga...

Czasami potrafiła rozebrać się i tak cały dzień chodziła. Później brała prysznic, rozsiadała wygodnie na łóżku i wszystkim mieszkającym z nią kobietom opowiadała, że musi koniecznie wyjść za mąż za Francuza, bo tylko Francuzi potrafią kochać.

A jeszcze kiedy indziej, ale to już bardzo rzadko, wpadała w ekstazę i biczowała się starym wypchanym grzechotnikiem...

Plastyka Buffo zawsze wtedy łamało w kościach i mówił: „no, ta stara idiotka znowu się biczuje...”

Jednak przy tym wszystkim panna Michelle była jakaś taka miła. W miarę możliwości każdy starał się jej pomóc.

Ktoregoś dnia siedziałem sam przy IV Kompozycji, strasznie się nudziłem i było mi smutno. Spóźniłem się na modlitwę i dziadzia Mamałygin za nic w świecie nie chciał mi skredytować. Chociaż obiecywałem, że następnego dnia odmodlę dwa razy tyle i nawet godziłem się na powtórzenie kazania, „cierp, duszyczko, powiedział, posmaż się przy Ogniu Piekielnym, żeby ty znał, co modlitwa święta rzecz i nie wolno jej lekceważyć. Posiedzisz całą nockę – wydumasz”.

Wtem drzwi się otwierają, „hu, hu”, wiatr zawył, wchodzi panna Michelle. A była już dobrze

na bani.

„Ech Pasternak”, powiada do mnie. (ja się wtedy Pasternak nazywałem). Więc, „ech Pasternak”, powiada, „wiesz ty, jaki ja świetny interes dzisiaj ubiłam?”

„Nie wiem”, mówię, ale udaję, że ciekawy jestem, bo panna Michelle trzyma pod pachą pudełko ciastek. Ze dwadzieścia ich było.

„Wyobraź ty sobie, mówi, ale ty sobie wyobraź, że ja dzisiaj jednemu gościowi wyłożyłam całą moją teorię do końca, a on mi za to opowiadał historię swojej nieszczęśliwej miłości. Szubrawiec! Ale stawiał i nawet mi te ciastka kupił! Jedz, Pasternak, i tak się do jutra zepsują...”

Zaczęła głądzić po swojemu, a ja żarłem te ciastka. Raptem ona walnęła mnie w kark i mówi: „Ty, słuchaj Pasternak, ja ci teraz powiem to, czego jeszcze nikomu nie opowiadałam. Bo jak bym komuś tylko pisnęła, co się TAM dzieje, od razu by mnie pod klucz! pod klucz! Proszę Państwa, czyż można chorych, steranych życiem ludzi zamykać w szpitalach, odgradzać ich, proszę Wysokiego Sądu...”

Ale jakoś powoli uspokoiła się. Tym bardziej, że ja zacząłem udawać sędziego: „Nie można pani dobrodziejsko, nie można...”. Więc się powoli uspokoiła i mówi: „ale ty jesteś porządny chłopak i tobie opowiem”.

„Jak mnie trzeci raz zamknęli do szpitala, nie było już tak dobrze jak kiedyś. Okupacja rozumiesz była. Nawet wariaci musieli dobrze kręcić głową, żeby wykombinować coś do jedzenia... Siostrzyczki z naszych paczek żywności podkładały, a nam kazały serwety haftować... Każda z nas musiała wyhaftować dla siostry salowej trzy serwety w ciąg miesiąca. Za to już salowa nie biła jej i nie kazała się kąpać...”

„Tak źle się kąpać?” - powiedziałem...

„Ty głupi jesteś”, fuknęła panna Michelle. „Był nakaz, codziennie wszystkie chore się kąpią. Chorych było czterdzieści na sali, jedna wana, a wody się nie zmieniało... A jak któraś nie chciała do wanny, siostra wpychała na siłę i biła. Więc już chyba rozumiesz dlaczego my tak haftowałyśmy i haftowały”.

„Wiesz ty co”, powiedziała nagle konspiracyjnym szeptem, „do szpitala mogą mnie zamknąć, a wtedy koniec, żaden Francuz się ze mną nie ożeni... Wiesz ty, co to Francja, Napoleon, co?”

Powiedziałem, że wiem i że nawet czytałem taką jedną książkę „Napoleon”. I zjadłem jeszcze jedno ciastko...

A później, jak już to ciastko jadłem, zacząłem sobie kombinować, że pannę Michelle, a szczególnie to, że teraz mówi, można by wsadzić do mojego opowiadania. Albo wyrzucić cały początek i tylko jej historię opisać. Albo nakreślić jej sylwetkę na tle tamtych ludzi. Może być interesujące. Zaczę znowu słuchać...

„... to taka była biedna, aż strach pomyśleć! Tylko raz na dzień siostry zakonne dawały

miseczkę zupy. A jak widziały, że któraś z nas jest szczególnie pobożna, nalewały jeszcze raz.

Sam wiesz, Pasternak, ile ja potrafię zjeść jak nie miałam być cholernie pobożna? Ale to wszystko za mało, więc wzięłyśmy się z Praksedą na sposób... Oj, jakie byłyśmy pobożne!... Praksesta udawała, że chce przejść z prawosławia na katolicyzm, ja ją uczyłam katechizmu. Koniecznie w kaplicy... Zupę też przed obiadem stawiali w kaplicy...

To my się modlimy: Zdrowaś Mario muru...muru..., a miskę każda trzyma między kolanami. Jak ja się biję w piersi, Praksesta chlup, nabiera dwie pełne miski. Nasze głosy musiały zakonnice słyszeć w korytarzu bez przerwy, więc zaczynamy odmawiać litanie... Jak Praksesta mówi „wspomożenie wiernych” to ja wtedy jem szybciotko, jak ja odpowiadam „módl się za nami” - Praksesta.

Tak czasem i cztery litanie odmówiłyśmy...

Ale najlepsza historia była z jedną dziewczyną...

Wiesz ty, ilu ja mężów pochowałam? Trzech! Raz, jak spacerowałyśmy z Praksedą po ogrodzie, przybiegła siostra dyżurna i mówi: „kochane, trzeba jedną nową wprowadzić do obserwacyjnej...” Ho! ho! Nie takie proste wprowadzić nawet najłagodniejszego wariata tam, gdzie siedzą ci pod obserwacją... U nas taka sala miała ze sto dwadzieścia łóżek. Długa, wąska kiszka. Wpychało się tam wszystkie chore, bez względu na rodzaj choroby. Raz na tydzień przychodził doktor i robił obchód. - Ten – mówił – katatonik, ten – melancholik, tego won za bramę łobuza – symulant.

W tej sali to chyba i zdrowy by zwariował. Więc i symulanci zdarzali się bardzo rzadko.

Nam z Praksedą było zupełnie dobrze. Siedziałyśmy już po pięć lat, uznano nas za nieuleczalne, spokojne idiotki i byłyśmy kute na cztery nogi. Dano nam względną wolność i często siostry brały nas do pomocy. Więc jak teraz przybiegła siostra dyżurna, a trzeba ci wiedzieć, że nikt nie potrafił tak sobie radzić z nowymi jak Praksesta, pytamy: Ile?

- Kostka margaryny i dwa bochenki chleba...

- Dwie kostki margaryny i dwa bochenki chleba – powiadała Praksesta... Stańto na półtoiej kostki. Idziemy.

Patrząc siedzą w poczekalni trzy damy. Damy, Pasternak! Przedwojenne.

Najbardziej mi się staruszka, podobała. Cała w brylantach... - No, pomyślałam, jak za takie próchno, dwie kostki margaryny aż za dużo. - Ale Praksesta mruga na mnie, że to nie ta. Ach ta Praksesta! Ona miała nosa do wariatów! Okazało się, że chodziło o najmłodszą...

Jakieś osiemnaście lat miała. W ogień byś skoczył! Jakaż ona wariatka?! Zdrowa była, tylko matka i babka chciały ją schować przed Niemcami... Więc mówią dyżurnej, że dobrze zapłacą, żeby jej osobny pokój i fortepian i książki dać – niech chorą udaje...

Dyżurna – Świetnie, świetnie, mogą panie być spokojne o tę ptaszynę. - A my już wiemy, co

się święci. Siostra dyżurna była Niemką. Świetnie, świetnie, gołąbeczko, mówi. Do widzenia, drogie panie. A do nas po cichu: - Na obserwacyjną! - Masz ciastko, Pasternak!

Porządek działania miałyśmy już raz na zawsze ustalony. Więc teraz, jak tylko dziewczyna została sama, mówię do niej: - Proszę bardzo, pani pozwoli... - Biorę pod rękę i podprowadzam do drzwi. Dyżurna błyskawicznie otwiera drzwi, Prakseda z całej siły wali dziewczynę pięścią w głowę, a ja daję jej takiego kopniaka, że z miejsca ląduje na środku sali... Zrobione. Idziemy po margarynę.

Po pół godzinie wracam ja tam, bo nam wszędzie wolno było wchodzić, a jeszcze za drzwiami słyszę takie wycie, że Jezus Maria! Wchodzę, dziewczyna stoi na środku, jak ją zostawiłyśmy, ale chore już się nią zajęły! Szczypią, całują, szarpią! A reszta gania naokoło i wyje...

Ciekawy jesteś jak to się skończyło? Po tygodniu skończyły ją..."

Kłamałbym, gdybym twierdził, że opowiadanie panny Michelle nie zrobiło na mnie wrażenia. Tak mnie zafascynowało, że przesiedziałem do rana, obmyślając, jak by z tego zrobić porządną historię... Wreszcie zaczęło mi się trochę układać w głowie...

Najpierw napiszę o tym, jak mieszkaliśmy z Józiu „Pod Malwą” plus atmosfera hotelu i ludzie. Później, na tym tle pokażę postać panny Michelle, osoby bez wątplenia nieszczęśliwej i zaszczutej, ale „Pod Malwą” lubianej i szanowanej. Wreszcie wsadzę to jej opowiadania. I dalej nic mi nie wychodziło. Co ma niby opowiadanie panny Michelle do poprzedniej części? Szczególnie historia z dziewczyną, historia, którą chciałem jakoś uwypuklić? Musiałem znaleźć jakąś klamrę...

Myślałem chyba że dwa dni. Wreszcie wpadłem na pomysł...

Któregoś wieczoru przed modlitwą, zwołałem wszystkich do hallu i powiedziałem: „Dotąd panna Michelle robiła sobie z nas przedstawienie, dzisiaj my się nieźle zabawimy... Wezwałem karetkę ze szpitala. Zaraz będą. Jak tylko panna Michelle zejdzie z góry, trzeba zrobić tak i tak. Sprawa jest przesądzona”.

Dziadzia obiecał nam pobłogosławić...

Karetkę zajechała pod drzwi.

Panna Michelle zeszła do hallu. Stojący na czatach Nugat krzyknął: „Gotowe!”. Radca Rudolf podał pannie Michelle ramię mówiąc: „Pani wybaczy, ale szwoleżer jestem i czasem trochę przesolę”... Plastyk Buffo błyskawicznie otworzył drzwi, a Flanela dała jej takiego kopniaka, że panna Michelle z miejsca wylądowała w samym środku karetki.

Motor był na chodzie, więc samochód rudyżół od razu.

STOP ZATRZYMUJĘ AKCJĘ

No, skończyliśmy, Pasternak... Czy ktoś z Was nie ma papierosa?

Pierwodruk: „Kamena”, 1960, nr 12, s. 4-5.